

Przystanek historia

<https://przystanekhistoria.pl/pa2/tematy/grudzien-1970/77207,Gdynski-Grudzien-70-relacje-swiadkow.html>



Biuletyn IPN 12/2020 Grudzień '70

ARTYKUŁ

Gdyński Grudzień 70 - relacje świadków

OKRES HISTORYCZNY

(1956-1970) Od Października do Grudnia

Autor: ANNA KOŁAKOWSKA 17.12.2020

Wstrząsające relacje robotnika i pracownicy poczty – dwojga młodych, bo zaledwie dwudziestotrzyletnich, uczestników gdyńskich protestów roku 1970 ujawniają wiele ważnych, nie znanych z innych źródeł, szczegółów tamtych tragicznych dni.

Jerzy Kowalczyk, ur. w 1947 r., uczestnik protestów robotniczych w grudniu 1970 r. i członek Głównego Komitetu Strajkowego dla Miasta Gdyni. W latach siedemdziesiątych represjonowany i pozbawiony pracy.

W 1970 r. pracowałem w Przedsiębiorstwie Połowów Dalekomorskich „Dalmor”. Już od końca lat sześćdziesiątych pogarszano nam warunki zatrudnienia. Zarobki mieliśmy bardzo marne, a i tak zaczęto likwidować nadgodziny czy możliwość pracy w sobotę oraz w niedzielę, za co można było wypracować drugą pensję. Coraz częściej pracownicy rozmawiali o tym w małych grupach w zakładzie – szczególnie buntowali się młodzi. Mówiliśmy sobie, że tak nie może być, że trzeba coś zrobić¹.



Jerzy Kowalczyk, areszt śledczy w Wejherowie, 1970 r. (fot. z zasobu IPN)

Rozmawialiśmy z brygadzystą, a nawet z dyrektorem Dalmoru, ale sytuacja się nie polepszyła, a wręcz przeciwnie. W listopadzie 1970 r. zorganizowaliśmy wiec na terenie naszego zakładu pracy i ustaliliśmy, że napiszemy do władz, co nam się nie podoba, i wyślemy im nasze postulaty. Chcieliśmy po prostu lepszych warunków, żeby móc żyć godnie. Pismo przekazaliśmy na ręce dyrektora zakładu, ale nie było żadnego odzewu.

Pomyślałem, że muszę z tymi ludźmi być...

Nastał grudzień, zbliżały się święta, a władza ogłosiła podwyżki artykułów żywnościowych. To było 12

grudnia². 14 grudnia dowiedzieliśmy się, że protestują robotnicy w Gdańsku, że wyszli na ulice, ale zostali pobici i wielu z nich aresztowano.

Ulice Gdyni pełne już były milicji. Gdy doszliśmy do Urzędu Miejskiego, stało tam bardzo dużo ludzi wznoszących okrzyki. Było pewnie siedem czy osiem tysięcy osób. Budynku Prezydium Miejskiej Rady Narodowej pilnowali od środka marynarze uzbrojeni w broń maszynową i bezpieczeństwa.

Zebrałiśmy się na naszym wydziale i ustaliliśmy, że następnego dnia rozpoczniemy strajk. Na wiecu na naszym wydziale było około czterystu osób, ale tak samo ustalili robotnicy z innych wydziałów. Nazajutrz, czyli 15 grudnia, rzeczywiście część pracowników nie przebrała się w robocze ubrania, ale gdy postanowiliśmy wyjść na protest poza teren zakładu, to okazało się, że jest nas tylko około dziesięciu z naszego wydziału.

Udaliśmy się pod bramę wyjściową, gdzie stało już około tysiąca osób – pracowników Dalmoru³. Kolega z magazynu w Dalmorze Edmund Hulsz miał tubę, przez którą powiedział, że w naszym kierunku zmierzają robotnicy ze Stoczni im. Komuny Paryskiej i że razem pójdziemy pod Prezydium Miejskiej Rady Narodowej. Po drodze do stoczniowców z Komuny Paryskiej dołączyły Stocznia Nauta, Stocznia Remontowa, Zarząd Portu. Zanim ten ponaddwutysięczny tłum zbliżył się do Dalmoru, z daleka słychać było okrzyki. Nie były to hasła polityczne, głównie krzyczano:

„Suche butki dla Gomułki!”, „Chodźcie z nami!”

i domagano się cofnięcia podwyżek. Widząc ten tłum, pomyślałem, że muszę z tymi ludźmi być, nie mogę nie pójść, stać z boku, nie mogę być gorszy. Ruszyliśmy i tak wyszło, że razem z kilkoma kolegami z Dalmoru szliśmy na czele demonstracji.



**Budynek gdyńskiego Dalmoru,
stan obecny - 2012 r. (fot.
Wikipedia/CC BY-SA 3.0/Andrzej
Otrębski)**

Pod Komitet Miejski PZPR

Po drodze dołączali do nas ludzie z ulicy, wychodzili z domów, stali też w oknach swoich mieszkań i wspierali nas okrzykami. Przyłączyli się kolejarze w mundurach, pielęgniarki w białych fartuchach i wiele innych osób, tak że z każdą chwilą ten tłum gęstniał. Ludzie śpiewali hymn Polski, *Rotę* i ponownie wznosili okrzyki z żądaniem cofnięcia podwyżek.

W listopadzie 1970 r. zorganizowaliśmy wiec na terenie naszego zakładu pracy i ustaliliśmy, że napiszemy do władz, co nam się nie podoba, i wyślemy im nasze postulaty. Chcieliśmy po prostu lepszych warunków, żeby móc żyć godnie.

Przez tubę, którą niósł Hulsz, co jakiś czas prosiliśmy, żeby nie dochodziło do żadnych aktów wandalizmu, do niszczenia sklepów czy samochodów. Wyszliśmy na ul. Świętojańską, ale w pewnym momencie skręciliśmy w stronę ul. Władysława IV i udaliśmy się pod Komitet Miejski PZPR. Dochodząc tam, słyszeliśmy skandowanie, bo część stoczniowców z Komuny Paryskiej, około tysiąca osób, poszła bezpośrednio pod komitet. Chcieliśmy przekazać nasze żądania I sekretarzowi Komitetu Miejskiego PZPR Hugonowi

Malinowskiemu, ale budynek był zupełnie opustoszały. Jedynie stróż czy portier pilnował drzwi od wewnątrz.

Kilka wybranych przez nas osób⁴ zostało przez portiera wpuszczonych do środka i rzeczywiście przekonaliśmy się, że w budynku absolutnie nikogo nie ma. Później okazało się, że Malinowski uciekł do sztabu Marynarki Wojennej. Ruszyliśmy więc w stronę Prezydium Miejskiej Rady Narodowej.

Proszę wybrać delegatów z poszczególnych zakładów...

Ulice Gdyni pełne już były milicji. Gdy doszliśmy do Urzędu Miejskiego, stało tam bardzo dużo ludzi wznoszących okrzyki. Było pewnie siedem czy osiem tysięcy osób. Budynek Prezydium Miejskiej Rady Narodowej pilnowali od środka marynarze uzbrojeni w broń maszynową ibezpieka. Zażądaliśmy spotkania z przewodniczącym Miejskiej Rady Narodowej Janem Mariańskim. Wyszedł do nas po około piętnastu minutach i mówi:

„Proszę wybrać delegatów z poszczególnych zakładów pracy i porozmawiamy”.

Ja zostałem wyznaczony do ochrony delegatów. Było nas do ochrony chyba pięciu.

Najliczniej reprezentowana była Stocznia im. Komuny Paryskiej, bo ten zakład zatrudniał ok. 10 tys. pracowników.

Mieliśmy stać na parterze, przy schodach wewnątrz budynku, i pilnować naszych delegatów, abybezpieka nie uprowadziła ich tylnym wyjściem⁵. Po około godzinie Mariański w towarzystwie delegatów, m.in. Hulsza i Stanisława Słodkowskiego, z okna przez tubę powiedział, że przyjął nasze postulaty i przekaże je władzom w Warszawie⁶. Delegaci zwrócili się też do Mariańskiego z żądaniem, aby wyraził zgodę na utworzenie legalnego Głównego Komitetu Strajkowego dla Miasta Gdyni – i on się na to zgodził.

Główny Komitet Strajkowy dla Miasta Gdyni

Po powrocie Hulsz powiedział do tłumu, aby ludzie przeszli do Dalmoru – bo tam było najbliżej – na wiec, na którym dokonamy wyboru komitetu strajkowego. W czasie wiecu w Dalmorze obok Hulsza stało trzech starszych ludzi, którzy, jak się okazało, byli w czasie wojny żołnierzami Gryfa Pomorskiego. Dawali nam wskazówki, mówili o swoich wojennych doświadczeniach. Zaproponowałem, żeby, po wyborze delegatów z poszczególnych zakładów pracy, komitet strajkowy ulokował się w zakładowym domu kultury na terenie portu. Przedostałem się tam bocznymi drogami, między wagonami kolejowymi, bo miasto pełne już było milicji i ZOMO. Z trudem udało mi się nakłonić stróża, żeby nas wpuścił. Zgodził się, mówiąc:

„W razie czego powiem, żeście mnie napadli i weszliście tu siłą”.

Przed 16.00 do Domu Kultury zaczęli się schodzić delegaci gdyńskich zakładów pracy. Zgromadziło się około trzystu osób. Jednocześnie powstawały komitety strajkowe w zakładach. Nikt z zewnątrz nie mógł do nich wejść, a na rękach strajkujących pojawiły się biało-czerwone opaski. W Domu Kultury najliczniej reprezentowana była Stocznia im. Komuny Paryskiej, bo ten zakład zatrudniał ok. 10 tys. pracowników. Obradom przewodniczył Słodkowski, Hulsz przyszedł później. Wybrano Główny Komitet Strajkowy dla Miasta Gdyni oraz łączników pomiędzy strajkującymi zakładami a komitetem.

... nie mieliśmy jeszcze doświadczenia, żeby właściwie wszystko ocenić ...

Ostatecznie w Domu Kultury zostało około trzydziestu osób, reszta wróciła do strajkujących załóg. Przenieśliśmy się z sali widowiskowej do znajdującej się ponad nią kawiarenki, do której prowadziły wysokie na mniej więcej pięć metrów, strome, metalowe schody. Tam dokonaliśmy wyboru przewodniczącego komitetu strajkowego, którym został Słodkowski, na jego zastępcę powołaliśmy Włodka Ilnickiego, wybraliśmy też sekretarza i dwóch delegatów. Zaproponowałem, żeby każdą funkcję zdublować na wypadek aresztowań. Zostałem powołany na drugiego sekretarza komitetu strajkowego. Hulsza jeszcze nie było, zaocznie wybraliśmy go na drugiego wiceprzewodniczącego. Nie mieliśmy na czym napisać protokołu z wyboru władz, naszych oświadczeń i postulatów – ani kartki, ani maszyny do pisania. Gdy o tym rozmawialiśmy, otworzyły się drzwi i weszła młoda dziewczyna:

„Nazywam się Weronika Szymańska, jestem sekretarką w Miejskiej Radzie Narodowej. Chcę do was dołączyć i pomóc wam. Mogę się przydać przy sporządzaniu pism”.

Zrobiliśmy wielkie oczy ze zdziwienia, ale ją przyjęliśmy⁷. Chwilę po tym, ku naszemu jeszcze większemu zaskoczeniu, wszedł Mariański. Kiedy zobaczył swoją sekretarkę, ze zdziwieniem zapytał, co tu robi.

Przed północą usłyszeliśmy straszliwy huk, tak jakby się drzewa łamały, jakby waliła się hala widowiskowa. Naraz z łomotem otwierają się, a raczej wyłamują się drzwi i do kawiarenki, w której przebywaliśmy, wpadła milicja w polowych mundurach.

Odparła, że sumienie nie pozwala jej być obojętną na to, co się dzieje, i chce pomóc. A my powiedzieliśmy, że przydałyby się nam maszyna do pisania i papier, bo nie mamy nawet na czym spisać protokołu z posiedzenia komitetu (jak się potem okazało, dokument bardzo przydał się bezpiece). Mariański zaproponował, aby Weronika razem z jego kierowcą oraz dwoma członkami komitetu strajkowego pojechała do urzędu MRN i zabrała z jego gabinetu maszynę. Tak zrobiliśmy. Do budynku dostaliśmy się tylnymi drzwiami, żeby nie zostać zauważonym przez bezpiekę. Muszę dodać, że z Mariańskim przyjechał Hulsz, który tłumaczył swoje spóźnienie tak, że rozmawiał długo z gryfowcami, którzy towarzyszyli mu na wiecu na terenie Dalmoru⁸. Z kolei przyjazd z Mariańskim tłumaczył tym, że ten spotkał go po drodze i zaproponował podwózkę. Później opowiadał jeszcze inne wersje⁹. Większość członków komitetu strajkowego to byli młodzi ludzie, nie mieliśmy jeszcze doświadczenia, żeby właściwie wszystko ocenić.

Pokażcie im, co robi się ze zdrajcami...

Mariański był krótko z nami, a my rozpoczęliśmy formułowanie na piśmie odezwy do robotników z naszymi postulatami. Dotyczyły one tylko spraw pracowniczych, poprawy naszego bytu i warunków pracy.

Przed północą usłyszeliśmy straszliwy huk, tak jakby się drzewa łamały, jakby waliła się hala widowiskowa. Naraz z łomotem otwierają się, a raczej wyłamują się drzwi i do kawiarenki, w której przebywaliśmy, wpadła milicja w polowych mundurach. Funkcjonariusze wpakowali się, wymachując pałkami, wielką gromadą. Jeden z nich podszedł do Weroniki, złapał ją za włosy i trzymał. Milicjant w stopniu kapitana podszedł do maszyny do pisania, wyjął z niej protokół i zaczął krzyczeć:

„Dobrobytu wam się zachciewa, a przecież wy jesteście zdrajcami. Będziecie odpowiadać za to przed sądem wojskowym. Nie będziemy was sądzić jak cywili – osądzi was sąd wojskowy”.

I zwrócił się do milicjantów:

„pokażcie im, co robi się ze zdrajcami”.

Spostrzegłem zdziwiony, że oni mają w kącikach ust pianę, ale ledwo zdążyłem powiedzieć o tym Włodkowi Ilnickiemu, zaczęła się jatka. Rzucili się na nas i zaczęli łać nas pałami i kopać, gdzie popadnie. Podłoga i ściany zabryzgały się krwią.

Wtedy dwóch milicjantów podniosło mnie go góry i zrzuciło po stromych, metalowych schodach w dół. Spadając, straciłem przytomność.

Jak zobaczyłem tę krew, wszystko się we mnie zagotowało. Myślałem, że nas zabiją, więc chwyciłem stolik za nogę i kręciłem nim w powietrzu na wszystkie strony, żeby nie mogli do mnie podejść. Pobitych ludzi zaczęli wyprowadzać z pomieszczenia, ale do mnie nie mogli się zbliżyć. Dopiero po chwili kilku naraz mnie dopadło. Jeden rzucił mi się na nogi, przewrócił mnie i zostałem obezwładniony. Skuli mnie razem z Włodkiem, ale jak nas wyprowadzili na schody, chwyciłem się poręczy. Podczas szarpaniny rozpięły się nam kajdanki. Nie mogli mnie oderwać od poręczy i wtedy od kapitana dostałem mocnego kopniaka, wojskowym buciorem w przyrodzenie, tak że z bólu aż mnie zamroczyło. Wtedy dwóch milicjantów podniosło mnie go góry i zrzuciło po stromych, metalowych schodach w dół. Spadając, straciłem przytomność¹⁰. Potem w więzieniu Włodek mi opowiadał, że na dole już cały zalany byłem krwią, bo obijałem się o metalowe krawędzie stopni, a z rany na czole i brodzie widać było kość. Rzucili mnie nieprzytomnego pod schody i tam leżałem do momentu, aż wszystkich wyprowadzili do samochodów.

... ocknąłem się, jak usłyszałem zgrzyt bramy aresztu...

Ja nic z tego nie pamiętam, ocknąłem się, jak usłyszałem zgrzyt bramy aresztu w Wejherowie. Włodek opowiadał, że samochody jechały do Wejherowa lasami i był pewien, że w lasach nas zastrzelą. Jak odzyskałem przytomność, chciało mi się wymiotować i wszystko mnie bolało, a najbardziej głowa. Postawili nas na dziedzińcu więzienia twarzą do ściany. Ja nie mogłem ustać, więc klęczałem do momentu, aż wzięli od nas rzeczy do depozytu i zaprowadzili nas do celi. Przez trzy dni strasznie cierpiałem, bo nie dostałem żadnej pomocy lekarskiej. Jedyne, na co mi pozwolono, to obmyć twarz z krwi, ale włosy i tak miałem posklejane krwią. W celi z czterema pryzkami było nas piętnastu¹¹. Koledzy zaraz położyli mnie na łóżko, bo nie miałem sił. Jęczałem z bólu, leżąc w gorączce. Włodek walił w drzwi, żeby zaprowadzili mnie do lekarza, ale nikt nie reagował. Dopiero na czwarty dzień zabrali mnie do więziennego lekarza. Wówczas po raz pierwszy obmyli mi rany, oczyścili i założyli opatrunki. Dostałem zastrzyk, który trochę uśmierzył ból. Jak wróciłem do celi, poprosiłem Włodka, żeby zobaczył, co mam na plecach, bo mnie bardzo piekły. Wcześniej nie myślałam o tym, ponieważ najbardziej dokuczał mi ból głowy. Jak zobaczył plecy i koszulę przyschniętą do ran, to się przeraził, ale kazałem mu szybkim ruchem ją zerwać. Zerwał koszulę z kawałkami skóry i oczywiście pociekła krew, bo plecy były poranione od uderzeń o metalowe stopnie. Z fragmentów gazety znalezionej w ubikacji dowiedzieliśmy się o tym, co działo się w Gdańsku i Gdyni – że połała się krew, że zginęli robotnicy. Bardzo to nami wstrząsnęło.

... wszystko może się zmienić, jeśli podpiszę zobowiązanie do współpracy ...

Po pięciu dniach zostałem doprowadzony na przesłuchanie.

Przez lata nie mogłem dostać pracy. Nawet jeśli mi się udało, to po kilku dniach zatrzymywała mnie na 48 godzin milicja i ze względu na niestawienie się w pracy automatycznie byłem zwalniany.

Ubek powiedział, że najmniej dziesięć lat spędzę w więzieniu, a mój syn, który wówczas miał pół roku,

nie będzie mnie znał. Usłyszałem też, że już jestem zwolniony z pracy, jednak wszystko może się zmienić, jeśli podpiszę zobowiązanie do współpracy. Odmówiłem podczas tego przesłuchania i kolejnych, ale wielu kolegów z komitetu strajkowego złamało się i podpisało, w tym jego przywódcy¹². Byli więc jeden po drugim wypuszczani do domu. Na jednym z przesłuchań esbek wpadł w furję, wyzywał mnie i wrzeszczał:

„Jaki ojciec, taki syn. Ojciec mordował Polaków, a ty nie lepszy, ale dziwię się twojej matce, że takiego sk....syna nosiła w brzuchu przez dziewięć miesięcy. Powinni ją na Majdanku przez komin puścić”. [Ojciec Jerzego Kowalczyka był w AK i WiN, matkę więziono w czasie wojny na Majdanku – przyp. A.K.].

Strasznie się zagotowałem, jak to usłyszałem, nie wytrzymałem, chwyciłem taboret i rzuciłem w niego. Natychmiast wpadła atanda, pobili mnie i znów straciłem przytomność. Odzyskałem ją w kabarynie, gdzie przywiązali mnie w tzw. pasy. To jest bardzo bolesna kara. Człowiek przypięty pasami nie może ruszyć ani ręką, ani nogą. Dopiero po kilku godzinach odprowadzili mnie pod celę.

Przez lata nigdzie nie mogłem dostać pracy...

Wypuścili mnie i kilku innych kolegów, już ostatnich więzionych, 23 grudnia w nocy. Przez lata nigdzie nie mogłem dostać pracy. Nawet jeśli udało mi się gdzieś zatrudnić, to po kilku dniach zatrzymywała mnie na 48 godzin milicja i ze względu na niestawienie się w pracy automatycznie byłem zwalniany.



Jerzy Kowalczyk, 2019 r. (fot. z profilu facebookowego Związku Solidarności Polskich

**Kombatantów i Osób
Represjonowanych w Gdyni)**

Rozwoziłem mleko, wyładowywałem węgiel, żeby utrzymać rodzinę. W domu wielokrotnie bezpieka robiła rewizje, czterokrotnie byłem brany na tzw. ćwiczenia wojskowe, które w rzeczywistości były zwykłym izolowaniem mnie od świata przez kilka tygodni, m.in. w czerwcu 1976 r. W domu miałem założony podsłuch. Skutki pobicia spowodowały poważne schorzenia kręgosłupa i od wielu lat jestem na rencie inwalidzkiej, która dotychczas wynosiła 900 zł. Ale gdyby trzeba było, zachowałbym się tak samo.

Ewa Jażdżewska, ur. w 1947 r. W 1970 r. pracowała w Urzędzie Pocztowym nr 9 w Gdyni. Uczestniczka protestów robotniczych 17 grudnia oraz strajku w sierpniu 1980 r. w gdyńskim Kombinate Budowlanym i członek Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność”. Działalność opozycyjną kontynuowała po wprowadzeniu stanu wojennego, a w jej mieszkaniu znajdował się punkt przerzutu podziemnej prasy.

W nocy z 16 na 17 grudnia niedaleko naszego domu przy ul. Czerwonych Kosynierów¹³ przejeżdżały czołgi. Przejeżdżało ich tak dużo, że trzęsły się szklanki w kredensie. Gdy rano około 6.00 usłyszeliśmy strzały z broni maszynowej i pojedyncze wystrzały z dział, domyśliliśmy się, że stocznia jest obstawiona przez wojsko, ale nie wiedzieliśmy, jak to wszystko wygląda i co tam się mogło wydarzyć. Idąc do pracy, widziałam ogromny tłum na peronach i pomoście stacji Gdynia Stocznia, ale nie wiedziałam, co to znaczy¹⁴. Pamiętam, że tłum był milczący.

Ewa, strzelają do ludzi jak do kaczek!

Po przyjeździe do pracy usiadłam przy dalekopisie, który obsługiwałam. Niebawem przybiegła do mnie koleżanka, suwnicowa w stoczni, i krzyknęła:

„Ewa, strzelają do ludzi jak do kaczek!”.

Ona rano była na pomoście przy stacji Gdynia Stocznia i widziała, co się tam działo, widziała, jak wojsko

strzelało do robotników, którzy stali na peronach i pomoście i chcieli iść do pracy. Zaczęłam przez dalekopis wysyłać komunikaty do urzędów pocztowych w różnych miastach w Polsce. Pisałam:

„W Gdyni mordują robotników!”.

Oczywiście bałam się odpowiedzialności za to, ale czułam, że muszę to zrobić. Chwilę potem została zerwana łączność telefoniczna Gdyni z innymi miastami, więc odeszłam od dalekopisu i zaczęliśmy rozpakowywać druki, które przysły do nas w nocy. Nagle pomyślałam:

„Boże, co ja robię?”.

Kopnęłam paczkę z drukami i powiedziałam głośno:

„Muszę tam iść, muszę zobaczyć, co się tam dzieje”.

Przyłączyli się do mnie młody chłopak i dwóch starszych pocztowców, o których mówiono, że w czasie wojny byli w AK.

... i wtedy zobaczyłam ogromną kałużę krwi...

Do stacji Gdynia Stocznia dotarliśmy około 9.00. Zobaczyliśmy tłum stojący na peronach i na pomoście nad torami. Byli to robotnicy, którzy przyjechali do pracy, ale mimo że już wcześniej do nich strzelano, nie mogli nigdzie odejść, bo droga była zablokowana przez milicję i wojsko z wycelowaną w nich bronią maszynową¹⁵.

Niedaleko naszego domu przejeżdżały czołgi.
Przejeżdżało ich tak dużo, że trzęsły się

szklanki w kredensie.

Ledwo doszliśmy w to miejsce, znowu rozległy się strzały. Z tym młodym kolegą chcieliśmy podejść bliżej, żeby zobaczyć, co się dzieje. Towarzyszący nam starsi pocztowcy próbowali nas powstrzymać, tłumacząc, że to jest niebezpieczne i możemy dostać kulkę. Nie zdążyliśmy się nawet zastanowić, kiedy padły kolejne serie z karabinów maszynowych¹⁶. Za chwilę ludzie zaczęli znosić z pomostu rannych. Zatrzymywali samochody i z pomocą kierowców kładli tam rannych, aby zawieźć ich do szpitala. Niestety, widziałam też jednego kierowcę, który kopniakiem wypchnął na ulicę rannego wsadzonego przez innych ludzi do jego auta. Przyszliśmy bliżej pomostu i wtedy zobaczyłam ogromną kałużę krwi. Pomyślałam, że człowiek nie może mieć w sobie tyle krwi, ale było jej wszędzie pełno. Mimo że strzały padały nadal, zobaczyłam, jak ludzie podnieśli z ziemi chłopaka, wzięli go na ramiona i sformowali pochód¹⁷. Było widać, że on nie żyje.



Ewa Jażdżewska (fot. z legitymacji członkowskiej NSZZ "Solidarność")

Chcieliśmy, aby świat zobaczył tę zbrodnię.

Gdy tłum ruszył, nadleciały helikoptery i teraz z nich zaczęto nas ostrzeliwać. Strzelali petardami z gazem łzawiącym, ale też ostrą amunicją. Wokół mnie padali ranni. Helikoptery schodziły poniżej najwyższego piętra otaczających nas budynków i wyraźnie widziałam strzelającego do nas człowieka, wychylonego przez otwarte drzwi. Schroniliśmy się razem z ludźmi, którzy nieśli zabitego chłopaka, w podwórzu starej kamienicy. Gdy się trochę uspokoiło, opuściliśmy podwórko i dalej ruszyliśmy z tym zabitym, pokrwawionym chłopakiem ulicami

Gdyni, skandując:

„Idziemy pokazać to światu! Świat musi to zobaczyć!”.

Czułam to samo co wszyscy – najpierw zdziwienie, potem potworny szok i wściekłość. Nie bałam się, bo na strach nie było czasu. Szliśmy w stronę szwedzkiego konsulatu, ponieważ był najbliżej. Chcieliśmy, aby świat zobaczył tę zbrodnię. Gdy mijaliśmy baraki przy ul. Morskiej, ktoś wyjął z nich drewniane drzwi, na których położono niesionego, zabitego chłopca.

Mimo że strzały padały nadal, zobaczyłam, jak ludzie podnieśli z ziemi chłopaka, wzięli go na ramiona i sformowali pochód. Było widać, że on nie żyje.

Na ulicy 10 Lutego ktoś pobiegł do kościoła Najświętszego Serca Pana Jezusa i wziął krzyż – i ten krzyż był już niesiony na czele pochodu. Ulice były obstawione wojskiem, ale pamiętam taki moment, że jeden z żołnierzy, widząc, co się stało, zdjął hełm, rzucił go o ziemię, uklęknął i złapał się za głowę. Konsulat szwedzki był otoczony zasiekami z drutu kolczastego i obstawiony wojskiem. Nie mogliśmy podejść do gmachu, więc poszliśmy w stronę ul. Świętojańskiej, aby udać się pod budynek Prezydium Miejskiej Rady Narodowej. Ludzie szli, płakali, krzyczeli: „bandyci”, „mordercy” i „gestapo”.

Mijając pl. Kaszubski, zobaczyliśmy, że stoją na nim platformy z wycelowanymi w naszą stronę karabinami maszynowymi, a potem platformy znalazły się za naszymi plecami. Gdy dochodziliśmy do Prezydium Miejskiej Rady Narodowej i byliśmy w otoczeniu ścisłej zabudowy ul. Świętojańskiej, milicja znowu zaczęła do nas strzelać. Strzały padały z przodu, od strony prezydium, i z tyłu. Nad naszymi głowami latały też helikoptery. Stało się dla mnie jasne, że zostaliśmy właśnie tak pokierowani, aby nie mieć możliwości ucieczki.

Ogromna flaga polska, cała umazana we krwi...

Wszyscy rozpierzchli się na boki, a niektórym udało się schronić na klatkach schodowych. Przerazona

powiedziałam do towarzyszącego mi kolegi:

„Antek, będą nas wymiatać z klatek. To jest kocioł. Musimy się ratować”.

Pobiegliśmy na piętro i zapukaliśmy do drzwi jakiegoś mieszkania. Gospodyni – jak nas zobaczyła, załzawionych, brudnych – westchnęła, mówiąc:

„tacy młodzi – zabiją was”,

i oczywiście pozwoliła nam wejść, choć w domu było jej dwóch nastoletnich synów, a ona sama była po operacji.

Okazało się, że zginął nasz kolega Zygmunt Polito, o czym powiedziała nam jego siostra. Zginął też Stasiek, a informację o tym przyniosła nam jego narzeczona.

Po około dwóch godzinach, gdy na ulicach trochę się uspokoiło, postanowiliśmy opuścić mieszkanie. Wszędzie pełno było kordonów milicji, która legitymowała i wyłapywała uczestników demonstracji. My mieliśmy przy sobie zabrane z poczty telegramy i tym chcieliśmy tłumaczyć swoją obecność na ulicy. Wzięłam kolegę pod rękę i jakoś szczęśliwie udało nam się przejść. Na ul. Śląskiej między drzewami była rozpięta ogromna flaga polska, cała umazana we krwi.

Następnego dnia przyszedłam z mężem do kawiarni, w której zwykle spotykaliśmy się po pracy w gronie przyjaciół. Wtedy okazało się, że zginął nasz kolega Zygmunt Polito, o czym powiedziała nam jego siostra. Zginął też Stasiek¹⁸, którego nazwiska już nie pamiętam, a informację o tym przyniosła nam jego narzeczona. Wszyscy byliśmy bardzo młodzi, ja miałam 23 lata. Mimo to uważam, że musieliśmy protestować, musieliśmy

wyść na ulicę. Myślałam sobie:

„jeśli nie ja, to kto?”.

Rok później, gdy byłam już w bardzo zaawansowanej ciąży, poszłam z mężem na przystanek PKP Gdynia Stocznia i na betonowym ogrodzeniu powiesiliśmy kwiaty.



Ewa Jażdżewska z młodzieżą przy wiadukcie nad przystankiem trójmiejskiej Szybkiej Kolei Miejskiej "Gdynia Stocznia - Uniwersytet Morski" (do 2020 r. "Gdynia Stocznia"). W tym miejscu 17 grudnia 1970 r. nad ranem oddziały Milicji Obywatelskiej i wojska zaczęły strzelać do zmierzających do gdyńskiej stoczni pracowników. Według ustaleń prokuratury śmierć w tej masakrze poniosło 10 osób (fot. Izabela Rychert, IPN)

Chwilę potem zatrzymała nas bezpieka. Te wydarzenia grudniowe wpłynęły na całe moje życie, ukształtowały mój stosunek do władzy komunistycznej. To w ich efekcie zaangażowałam się potem w roznoszenie ulotek i w „Solidarność”.

*Tekst pochodzi z numeru 12/2020 „Biuletynu IPN”.
Zachęcamy do jego zakupu w księgarniach Instytutu,
placówkach Poczty Polskiej, sieciach EMPIK
lub na stronie <https://ipn.pocztytaj.pl/>*

¹ Poważnym problemem były nie tylko zarobki, lecz także zaopatrzenie rynku w towary pierwszej potrzeby. Spadły dostawy żywności, ryb, jaj, a także produktów rolnych. W sklepach brakowało mięsa, masła, wędlin, a nawet smalcu. Poważne problemy były także z zaopatrzeniem w węgiel, koks i gaz.

² Ponad 40 proc. mieszkańców Gdyni było ludźmi młodymi. Nie mieli jednak szans na własne mieszkanie, ich pensje nie rosły, a ogłoszone podwyżki objęły ok. 45 grup artykułów pierwszej potrzeby, takich jak mięso, nabiał, kasze czy makarony.

³ PPD „Dalmor” zatrudniało w tym czasie ok. 3 tys. pracowników.

⁴ Byli to: Edmund Hulsz, Włodzimierz Ilnicki, Tadeusz Jaroszyński, Emilian Kozłowski, Krzysztof Muskała, Marian Walas oraz nieznaną z nazwiska pielęgniarka.

⁵ W skład delegacji wchodził m.in. Sławomir Grześkowiak, Krzysztof Muskała, Stanisław Stodkowski, Marian Walas (Stocznia im. Komuny Paryskiej, przy czym Grześkowiak był uczniem), Włodzimierz Ilnicki, Emilian Kozłowski (Zarząd Portu Gdynia), Krzysztof Bojko i Edmund Hulsz (PPD „Dalmor”).

⁶ Wsunięto następujące postulaty: **1)** Zredukowanie rozpiętości zarobków pomiędzy zarobkami pracowników umysłowych (kierownictwa zakładów) a zarobkami pracowników fizycznych. **2)** Wobec wprowadzonej podwyżki cen artykułów spożywczych płace robotników winny być w odpowiedniej wysokości podniesione. **3)** Zarobki pracowników fizycznych winne być mniejsze o około 100 zł od zarobków pracowników z wykształceniem średnim zawodowym. **4)** Różnica pomiędzy zarobkami pracowników fizycznych i z wyższym wykształceniem winna wynosić około 200 zł. **5)** Dyrektor przedsiębiorstwa powinien zarabiać nie więcej niż 1000 zł więcej od pracownika z wykształceniem wyższym. **6)** Należy bezwzględnie podwyższyć minimalne wynagrodzenie pracowników, a przede wszystkim kobiet najniżej zarabiających. **7)** Zasiłki chorobowe winny być stu procentowe, tzn. w pełni odpowiadać utraconemu zarobkowi. Postulaty te miały wybitnie socjalny, roszczeniowy charakter. Ich treść potwierdza ekonomiczne podłoże grudniowego protestu. Uderza ich niebywały egalitaryzm, jakby dla protestujących robotników pojęcia „równości” i „sprawiedliwości” były tożsame. Do powyższej listy Edmund Hulsz dopisał odręcznie jeszcze trzy postulaty: 1a) Wszyscy ponownie w czwartek 17 grudnia 1970 r. zbierają się tu dla dalszego trwania strajku w godzinach rannych. **8)** Strajk okupacyjny trwać będzie tak długo, aż nasze postulaty zostaną spełnione. **9)** Pracownicy wybierają nowe władze związków zawodowych.

⁷ Po opuszczeniu przez delegację robotników Prezydium MRN, pracujące tam kobiety zostały zwolnione do domu. Weronika Szymańska dołączyła do robotniczego pochodu, a następnie udała się do Zakładowego Domu Kultury. Została aresztowana razem z innymi członkami komitetu strajkowego, ale więziona była osobno w areszcie przy ul. Starowiejskiej w Gdyni, w celi z prostytutkami. Zwolniono ją 29 grudnia 1970 r. Na początku 1971 r. dołączyła do konspiracyjnego komitetu strajkowego utworzonego przez Stanisława Stodkowskiego. Została aresztowana wraz z całą grupą 3 stycznia 1971 r.; 3 kwietnia Prokuratura Wojewódzka w Gdańsku umorzyła śledztwo w tej sprawie.

⁸ Spotkanie odbyło się w mieszkaniu jednego z nich.

⁹ Edmund Hulsz zobowiązanie do współpracy z SB podpisał już w areszcie w Wejherowie, 20 grudnia 1970 r.

¹⁰ Pozostali członkowie komitetu strajkowego przechodzili przez „ścieżkę zdrowia”, zanim zapakowano ich do milicyjnych samochodów.

¹¹ Tego dnia zostało aresztowanych 31 członków Głównego Komitetu Strajkowego dla Miasta Gdyni oraz 15 osób z komitetów zakładowych.

¹² Bezpieka zwerbowała jako tajnych współpracowników jedenastu członków Głównego Komitetu Strajkowego, choć niektórzy z nich nie podjęli współpracy i w ciągu kilku miesięcy zostali wyrejestrowani.

¹³ Obecnie ul. Morska.

¹⁴ Na wezwanie wicepremiera Stanisława Kociołka 17 grudnia robotnicy udali się do pracy. Zejście z peronów i kładki nad torami stacji SKM Gdynia Stocznia uniemożliwiły wojsko i milicja rozstawione po obu stronach torów. Około 6.00 siły rządowe otworzyły ogień, strzelając do robotników zbitych w tłum. Padli pierwsi zabici i ranni.

¹⁵ Pociągi Szybkiej Kolei Miejskiej od 4.30 co kilka minut dowoziły na peron stacji Gdynia Stocznia około tysiąca osób w jednym składzie. Przystanek Gdynia Stocznia był stacją wysiadkową dla pracowników pobliskich zakładów, w których pracowało ok. 30 tys. osób. Ponadto z powodu remontu trakcji elektrycznej był to też węzeł przesiadkowy dla wszystkich pasażerów SKM, także jadących do Gdańska i Wejherowa.

¹⁶ Było to około 9.00.

¹⁷ Był to osiemnastoletni Zbigniew Godlewski, upamiętniony w piosence autorstwa Krzysztofa Dowgiałły jako Janek Wiśniewski.

¹⁸ Być może chodzi o Stanisława Lewandowskiego – 26 lat.

COFNIJ SIĘ